

Jerzy Lackowski: Lekcje religii i etyki na celowniku premiera Tuska

Lektura nowych ramowych planów nauczania to bardzo przygnębiające zajęcie



Lektura nowych ramowych planów nauczania to bardzo przygnębiające zajęcie

Określające nowe ramowe plany nauczania w polskich szkołach rozporządzenie MEN z 7 lutego 2012 r. nie tylko ogranicza liczbę godzin kształcenia w istotnych dla przyszłości młodych Polaków obszarach wiedzy, ale również zmienia status nauczania religii i etyki. Otóż faktycznie przedmioty te wypadają z ramowego planu nauczania,

stając się w istocie przedmiotami dodatkowymi, których istnienie w szkolnych planach nauczania nie będzie już gwarantowane przez ministra edukacji, gdyż znajdą się one poza zbiorem zajęć objętych subwencją oświatową. Trzeba przypomnieć, iż w poprzednim rozporządzeniu dotyczącym ramowych planów nauczania z 12 lutego 2002 r. (czas rządu koalicji SLD-PSL) przedmioty te były wprost ujęte w ramowych planach nauczania i dzięki temu były uwzględniane w subwencyjnej kalkulacji. Już teraz można przewidywać, iż w ten sposób rząd koalicji PO-PSL uruchamia kolejne pole konfliktu mającego zasłonić jego wpadki i niepowodzenia. Z całą pewnością będziemy mieli do czynienia z kolejną odsłoną debaty o szkolnym nauczaniu religii, w której ekipa premiera Tuska po raz kolejny zagra kartą "tych, którzy nie klękają przed księżmi". Równocześnie wszystko to zostanie przedstawione w tonie troski o finanse publiczne oraz argumentowane tym, że samorząd najlepiej rozpoznaje potrzeby lokalnej społeczności i jeżeli rodzice będą chcieli, to znajdzie pieniądze na sfinansowanie nauczania religii bądź etyki w szkołach. Być może pojawią się także głosy o konieczności finansowania nauczania tych przedmiotów bezpośrednio przez rodziców ("bo przecież religia jest sprawą prywatną"). Będzie to klasyczne dla tej ekipy zagranie obliczone na wywołanie gorącego światopoglądowego sporu wśród Polaków. Już zresztą słyhać, że rząd szykuje nam ustawę o tzw. związkach partnerskich. W ten oto sposób mamy zająć się innymi kwestiami niż fatalny stan polskiego państwa w piątym roku rządów ekipy Donalda Tuska. Zajęci debatą o nauczaniu religii, związkach partnerskich, problemach polskiej piłki nożnej obywatele nie zauważą, jak sądzą rządowi propagandyści, m.in. podwyżki podatków, rosnącego bezrobocia, rozpadającej się infrastruktury komunikacyjnej, czy też dramatycznego obniżania poziomu kształcenia w polskich szkołach. Być może tym razem owych propagandystów i ich mocodawców spotka niemiła niespodzianka, gdyż nieudolność władzy może mocno dotknąć większość obywateli, również tych dotychczas przez nich "uśpionych".

Pomimo prób wywoływania konfliktu wokół szkolnego nauczania religii, w czym dotąd specjalizowały się skrajnie lewicowe środowiska, po ponad dwudziestu latach od jej powrotu w szkolne mury wrosła ona w życie polskiej szkoły. Naturalnie rzeczywistość związana z nauczaniem religii czy też etyki, tak zresztą, jak każdego przedmiotu, jest różnorodna, ale jednak dla przeważającej większości Polaków religia w szkole stanowi w pełni akceptowany element edukacyjnej oferty. Tymczasem swoimi działaniami rząd Donalda Tuska dąży do zniszczenia konsensusu, jaki zaistniał wokół nauczania religii. Warto zauważyć, iż czyni to wbrew sugestiom, które pojawiały się najczęściej w dyskusjach osnutych wokół nauczania religii/etyki, aby przedmioty te stały się częścią obowiązkowego kanonu kształcenia. Wówczas uczeń musiałby uczestniczyć w zajęciach, bądź z religii, bądź z etyki, nie mógłby tak jak dotychczas rezygnować z uczestnictwa w takich zajęciach. Sądzę, że obecność w szkole zajęć religii czy też etyki i troska o ich dobry poziom to jedna z najważniejszych dróg do przewyższania problemów wychowawczych wśród młodych ludzi. To właśnie te zajęcia mogą znakomicie wpływać na kształtowanie wśród nich postaw uczciwych i szanujących innych ludzi. Jednak dla obecnej minister edukacji jest to chyba kwestia za trudna do zrozumienia. Podobnie, jak ogarnięcie konsekwencji destrukcji edukacyjnej, jaką poczynią zmiany wprowadzane poprzez (przygotowaną przez tandem Hall - Szumilas) nową koncepcję kształcenia ogólnego. Mam skądinąd wrażenie, że minister Szumilas od medialnego "rozjechania" ratuje jej absolutną nijakość, obezwładniającą większość jej ewentualnych krytyków. W rankingu nijakości ministrów edukacji III RP już zdążyła wysunąć się na pierwsze miejsce, i to jest póki co jej jedyny "sukces".

Lektura nowych ramowych planów nauczania to w ogóle bardzo przygnębiające zajęcie, gdyż ukazuje nam, jak ograniczany jest wymiar kształcenia obowiązkowego dla wszystkich uczniów, szczególnie na poziomie szkoły średniej. Oto w I klasie LO, w ramach ostatniej fazy powszechnego kształcenia ogólnego liczba godzin fizyki, chemii, biologii czy geografii wynosi po 30 (przedmioty te zostały potraktowane na podobnym poziomie, jak edukacja dla bezpieczeństwa), czyli średnio po jednej godzinie tygodniowo, co można określić jako namiastkę ich nauczania. Liczbę godzin historii określono na poziomie 60, podobnie jak podstawy przedsiębiorczości. Tak oto młodzi Polacy będą przechodzili przez szkołę o ograniczonym zakresie kształcenia i wychowania.

W kwestii demolowania polskich liceów przez ekipę Hall - Szumilas zdumiewa nikłe zainteresowania obywateli i mediów, natomiast w sprawie wypychania religii ze szkół właściwie bierna postawa władz polskiego Kościoła. Dopiero po miesiącu od podpisania rozporządzenia z 7 lutego doszło do spotkania przewodniczącego Komisji Episkopatu ds. Wychowania ks. biskupa Marka Mendyka z minister Szumilas, po którym oświadczyła ona, iż zwróci się o analizę prawną skutków przepisów rozporządzenia dla szkolnego nauczania religii. Czyżby nie uczyniła tego przed jego podpisaniem? Może dotychczas nie zauważyła (nie zrozumiała), że działania MEN łamią zapisy Konkordatu, zgodnie z którymi polski rząd winien gwarantować nauczanie religii w szkołach. Próby omijania przez obecny rząd Konkordatu przy milczeniu Episkopatu to zresztą nowy polski zwyczaj. Skądinąd propagandyści ekipy Donalda Tuska od dłuższego czasu próbują w roli czarnego charakteru obok PiS-u obsadzać Kościół, sugerując Polakom, jakoby był on ogromnym obciążeniem dla ich kieszeni. W tych działaniach przejawiają niebywałą bezczelność, gdyż skrzętnie pomijają fakt braku

pełnej rekompensaty dla Kościoła za dokonaną przez peerel grabież jego majątku. Poza tym kierowanie uwagi Polaków na domniemane bogactwo Kościoła ma również ukryć rozrzutność tej władzy, która oszczędza na wszystkich, ale nie na sobie i swoich poplecznikach. Oto w czasach namawiania i zmuszania obywateli do zaciskania pasa, wypłacane są horrendalnie wysokie premie w różnych podmiotach Skarbu Państwa, często bez związku z uzyskiwanymi przez otrzymujących je ludzi efektami pracy, nieustannie rośnie armia urzędnicza, jak też koszty jej utrzymania, generalnie zamraża się wynagrodzenia w sektorze publicznym, ale nie żałuje się pieniędzy na nagrody dla urzędników. Zresztą warto zauważyć, że redukuje się np. zatrudnienie w szpitalach, ale nie NFZ-ach, likwiduje się szkoły, ale pęcznieje administracja oświatowa, i tak można by mnożyć przykłady z Polski, która znalazła się w rękach nie tylko nieudolnej, ale nade wszystko cynicznej ekipy, wręcz doskonale realizującej peerelowskie hasło o władzy, która się sama wyżywi.

Mam wrażenie, że jednak wywołując wojnę wokół nauczania religii rząd zdetonuje granat, który może go mocno poranić, a cała ta sprawa być może sprawi, że Polacy zainteresują się, co z edukacją ich dzieci wyprawia rząd Donalda Tuska.

Jerzy Lackowski

Salon24.pl